

W pierwszej kolejności trzeba uznać, że to nie ty decydujesz o tym *jak*. W twojej opowieści to twoja młodzież uświadomiła ci to, czego nie byłaś świadoma, to, co przynosisz; dlatego są dla ciebie cenni (to jest racja, dla której zawsze mówiłem, że „drugi jest dla ciebie dobrem”). W tym przypadku dostrzegli w tobie odmienność, innym razem mogli cię skrytykować, ale zawsze pomagają ci zdać sobie sprawę z samej siebie, wprowadzają cię na drogę, a następnie stają się przyjaciółmi, towarzyszami w drodze do przeznaczenia. Nie mogłaś nie wziąć pod uwagę ich wezwania, tego ich uporu, jeszcze przed podjęciem decyzji! Nie czekali, aż rozwiejesz swoje obawy, wydzwaniali do ciebie raz i kolejny, i to wszystko. Tak jak robi dziecko z matką: nie wie, która jest godzina, jaka jest zmęczona, jak bardzo się martwi, ale całe skłania się ku niej z potrzeby, którą odczuwa, a wtedy przywołuje ją, nalega; a mama musi zdecydować, czy odpowiedzieć na jego wołanie, czy mu ulec, czy je słuchać, czy też zignorować. To do macierzyństwa i ojcostwa jesteśmy wezwani. Wszyscy, w pewnych momentach, możemy ulec pokusie wywinienia się z jakiejś relacji i jest to normalne, jest to część drogi nawrócenia, które nigdy nie dokonuje się z zewnątrz, jako rezultat jakiegoś naszego projektu. Dlatego zawsze zdumiewa mnie zdanie księdza Giussaniego, które kiedyś słyszałem: „Jesteśmy odpowiedzialni za nawrócenie «ja» na obecne wydarzenie”, to znaczy wydarzenie, które dzieje się na naszych oczach. Twoje nawrócenie odnawia się i pogłębia nie na mocy twoich ascetycznych planów snuty przy stole, ale poprzez sposób, w jaki On wzywa cię do odpowiedzi. To, co się wydarzyło, i to, o czym opowiedziałaś, buduje twoje życie, tak jak buduje życie twoich uczniów. W tym naprawdę zaskakującym splocie stają się towarzyszami na twojej drodze do twojego przeznaczenia, tak jak ty w drodze do ich przeznaczenia. Żaden tam formalizm! To tak, jakby przy wielu okazjach otwierał się przyprawiający o zawrót głowy, a zarazem przepiękny dialog, ponieważ stajemy w obliczu tego, że w sytuacji, którą widzieliście opisaną na wystawie i w dialogach dzisiejszego poranka, w tym po ludzku dramatycznym momencie są młodzi ludzie, w których wyraźnie wyłania się nieredukowalność człowieczeństwa. To już jest pierwsza porażka nihilizmu! I dla nas to jest niesamowite, przynajmniej dla mnie takie jest! Dziękuję.

Jestem lekarzem, nie jestem nauczycielem, ale jestem zaangażowany w rzeczywistość GS. Pod koniec tego roku szkolnego pojawiło się pytanie, czy wyjechać razem na wakacje, czy też nie. Ja nie chciałem tego robić: byłem bardzo zmęczony, to był naprawdę ciężki czas w pracy, a potem powtarzałem sobie: „To czas, kiedy dzieciaki są bardzo wycofane”, i wydawało mi się, że w jakiś sposób wszystko jest na siłę. Dopóki nie zadzwonił do mnie pewien rodzic i powiedział, że jego syn, po całym roku spędzonym na zdalnym nauczaniu, przestał wychodzić z domu i nawet gdy przejeżdżali znajomi, nie chciał z nimi nigdzie pójść; dom stał się jego schronieniem. Fakt ten naprawdę mnie uderzył i zabolął; byłem nawet zaskoczony, że tak bardzo mnie to bolało; miałem wrażenie, że ten chłopak w pewnym sensie należy do mnie, a ja należę do niego. Ta sprawa mnie „poruszyła”, zmusiła do tego, bym przemyślał to, co zrobiłem, i dlatego zaproponowałem wakacje. Nawet te dzieciaki, które wcześniej wydawały mi się wycofane, natychmiast się przyłączyły. Przede wszystkim zrozumiałem, jak bardzo powierzchowny był mój osąd o nich. Myślałem, że to młodzi są oddaleni od samych siebie, podczas gdy to ja nie rozumiałem dokładnie, co noszą w sercu. Było dla mnie bardzo jasne, że jechałem na te wakacje nie dlatego, że musiałem im wytłumaczyć rzeczywistość, jak żyć itp., ale dlatego, że to ja potrzebowałem ich spotkać, lepiej ich poznać i lepiej zrozumieć, czym żyją. „Odbiło się” to także na kształcie wakacji, ponieważ nie mogłem wymyślić ich inaczej, jak wychodząc od tego chłopca, który nie chciał wyjść z domu. Tematem całych wakacji było pięć zmysłów, czyli odkrywanie rzeczywistości. Żartobliwie mówiłem im: „Kochani, to jest odkrycie pięciu

zmysłów!”. Były to przepiękne wakacje, było to odkrywanie rzeczywistości w jej pięknie i pozytywności wcześniej niż w jej niezdolności do odpowiedzenia ludzkiemu sercu. Czasem ociągamy się, by postawić ten drugi krok – rzeczywistość nie odpowiada ludzkiemu sercu – ale miałem wrażenie, że była tam przede wszystkim potrzeba odkrycia rzeczywistości w jej pięknie i pozytywności. W tym momencie pomyślałem, że o czymś takim nie mógłbym nawet pomyśleć bez dziesiątego rozdziału Zmysłu religijnego, który dał mi zupełnie nowe spojrzenie na rzeczywistość.

Dodam jeszcze jedną rzecz. Jako że zaleciliśmy zachowanie właściwej roztropności, odpowiednio do sytuacji epidemicznej, gdy proponowałem rodzicom formularz upoważnienia dla nieletnich, nagle poczułem chęć wykasowania sformułowania „wakacje organizowane przez Młodzież Szkolną” i napisałem: „wakacje organizowane przeze mnie, imię i nazwisko” – brałem za nie pełną odpowiedzialność, ponieważ wydawało mi się, że to bardziej dowartościowuje wszystkie czynniki. Ani przez chwilę nie postrzegalem tego jako pewnego rodzaju personalizmu czy możliwego rozdziału między mną a Młodzieżą Szkolną. Przyszły mi na myśl te słowa Szkoły Wspólnoty, gdzie jest mowa o tym, że wszechogarniające spotkanie nie jest obszarem relacji, ale formą relacji, i wydawało mi się, że tak było w moim przypadku, ponieważ prawdziwym miejscem świątyni jest „ja”, świątynia może być tylko w „ja”. To jest prawdziwe wyzwanie. Ten rok był doskonałą okazją, aby każdy z nas wzrósł w odpowiedzialności. Wszyscy moi przyjaciele w jakiś sposób zmierzyli się z tym wyzwaniem, ale paradoksalnie bardziej potrafili stawić mu czoła ci, którzy zostali bardziej zranieni przez to, co wydarzało się w młodych, w ich dzieciach. Moim zdaniem ten rok przyniósł ogromne wyzwania, znacznie większe niż zmiana narzędzi (od fizycznej obecności do portali społecznościowych), w których gra toczyła się o tożsamość, odczuwanie samego siebie. Są to wielkie wyzwania i zrozumiałe jest, że człowiek czuł się wobec nich zagubiony. A im bardziej ktoś czuł się zraniony, nieadekwatny, nieprzygotowany, tym większy krok do przodu zrobił. Akceptując tę nieadekwatność, odkrył nie tylko, że jest lepszym nauczycielem, ale też trochę bardziej ojcem i matką, z innym podejściem do młodych. Krótko mówiąc, jak powiedzieliśmy dzisiaj rano, naprawdę potrzebna jest szczelina, aby wniknęło nowe światło.

W tym roku, ze względu na wszystkie ograniczenia sanitarne, nie mogliśmy podjąć wszystkich gestów razem. Sytuacja była wielocentryczna: mała grupa tutaj, mała grupa tam. Każdy z nas dorosłych boleśnie odczuł nieobecność przyjaciela, nieobecność drugiego. Odkryłem piękno, wymiar „my”, nie z powodu zewnętrznego przymusu, ale wewnątrz doświadczenia „ja”. Również ze względu na nieprzewidziane historyczne okoliczności, które przeżywamy, wydaje mi się, że jest to ważna kwestia: możliwość odkrycia piękna „my” nie ze względu na zewnętrzny przymus czy z ustawowych powodów, ale jako zysk dla „ja”, silni jedynie rozbrojonym pięknem, atrakcyjnością. Jestem szczęśliwy, że przeżywam to wyzwanie.

To jest wspaniałe wyzwanie! Czujesz, że młodzież jest wycofana, ale gdy tylko pojawia się ktoś, kto cię porusza i sprawia ci ból, ponieważ nie chce wyjść z domu, odczuwasz więź z tym chłopakiem, a to popycha cię do działania, sprawiając, że rozpoznajesz, iż osąd, który wydałeś, był powierzchowny. W rezultacie zaczynasz dostrzegać, jak bardzo także ty ich potrzebujesz. Rozpoczyna się droga, dzięki której coraz bardziej odkrywasz, wraz z nimi, czym jest rzeczywistość, dopóki się nie wyłoni, jak mówi dziesiąty rozdział Zmysłu religijnego. Jeśli chodzi o wszechogarniające spotkanie nie jako obszar relacji, ale jako prawdziwą formę relacji, z jednej strony twoje „ja” ryzykuje wobec nich, ale z drugiej jednocześnie – jak zobaczyłeś później – nie można nie doświadczyć (także przez to, że nie możecie wykonywać wspólnie gestów), że nie wystarczy ci przejść z nimi tę „twoją” drogę, tak bardzo jest to prawdziwe, że chcesz wprowadzić ich w doświadczenie „my”. Wspaniale jest

widzieć, jak to się wydarza. Podążając za rzeczywistością, taką, jaka wychodzi nam na spotkanie, stajemy się zdolni do poszerzania coraz bardziej naszego spojrzenia, aż po przynależność; wystarczy podążać za atrakcyjnością, a – jak powiedziałaś na końcu – atrakcyjność nie byłaby prawdziwa, gdyby „ja” nie było zaangażowane w „my”. Wielokrotnie, z powodu pewnego formalizmu, „ja” zostaje przeciwstawione „my”. Jeśli ktoś poważnie traktuje obecność drugiego, nieuniknienie tęskni za nim, gdy go nie ma, tak jak ty odczułeś potrzebę bycia z młodymi. W tym roku nie byliście w stanie podjąć razem gestów, a to wzbudziło w tobie tęsknotę za nimi, tęsknotę, która otworzyła cię w nowy sposób na relację z nimi. Ponieważ twoje „ja” zawiera w sobie „my” jako prawdziwą formę relacji. Wspaniale jest odkryć, że to przenikanie się, że ten dialog z młodzieżą służy przede wszystkim nam; odkrywamy ich coraz bardziej jako towarzyszy drogi, jako pewne dobro, które „popycha” nas do relacji z nimi, dramatycznej, a jednocześnie całkowicie szanującej ich rytm, tak jak nasz.

Chciałam opowiedzieć o dwóch krótkich epizodach, które przydarzyły mi się pod koniec roku. Ostatniego dnia roku szkolnego weszłam do piątej klasy i zastałam milczącą młodzież; zamiast świętować, zebrali się wkoło w absolutnej ciszy, dzieląc się swoimi szkolnymi doświadczeniami z moją koleżanką. Poczułam zachwyt i podziw, ale jednocześnie nieco zakłopotania, ponieważ – przyznaję – trochę zazdrościłam. Wielokrotnie pragnęłam, by przydarzyła mi się taka chwila, tymczasem udało się to innej koleżance, z którą nie byłam za bardzo związana. Fakt ten wzbudził dwa pytania. Po pierwsze: to nieprawda, że jesteśmy lepsi, bo jesteśmy z CL, w istocie moi koledzy metodologicznie i po ludzku wyprzedzają mnie, a ja obalam mit. Więc zadałam sobie pytanie: na czym polega moja odmienność? Jakiej jest natury? Z pewnością nie chodzi o skuteczność. Drugie pytanie, które mi się nasunęło, to pytanie o sens, przejmujące, melancholijne: co mogę dać z siebie tej młodzieży? Jeśli się nad tym dobrze zastanowię, zawsze towarzyszyło mi takie pytanie. Myślę o dziewczynie, którą byłam, gdy miałam 17 lat, kiedy nie znosiłam wakacji (bo czułam się bardzo samotna, ponieważ moje koleżanki z klasy zniknęły), albo myślę o tym, kiedy zakochałam się w chłopaku, który nie był mną zainteresowany. Jak mogłam się z tym zmierzyć? Moje pytanie o dobro nie znajdowało odpowiedzi, ponieważ moje pragnienie miłości i przyjaźni było uśmiercane, stawałam się brutalna, a we mnie przeważała żrąca niechęć. Teraz to pytanie o dobro i znaczenie jest takie samo, identyczne, ale ja jestem inna, bo po 30 latach drogi uświadamiam sobie, że mogę stawić czoła swoim pytaniom w inny sposób. Zrozumiałam, że jeśli czekam na odpowiedź, jeśli naprawdę patrzę, zawsze coś przychodzi; krótko mówiąc, teraz wiem, komu zadaję pytanie, na tym polega cała różnica.

Pod koniec roku zaproponowałam moim uczniom wspólne spędzenie niedzieli. Spośród tych wszystkich, do których się zwróciłam, odpowiedziała tylko jedna osoba; w międzyczasie zaprosiłam też innego zaprzyjaźnionego nauczyciela, który na ten dzień organizował spacer po górach. W związku z tym, że mój plan dnia spełnił na niczym, zaproponowałam mojemu uczniowi, byśmy przyłączyli się do spaceru po górach. W ten sposób powstała bardzo niejednorodna grupa, składająca się z uczniów, nauczycieli, absolwentów, różnych przyjaciół, rodziców uczniów. Pod koniec spaceru zatrzymaliśmy się na skraju ścieżki, w cieniu, żeby zjeść obiad. Jakaś studentka przygotowała wiersze wojenne Ungarettiego; gdy miała zacząć je nam czytać i komentować, nadeszła grupa turystów, którzy musieli przejść tą ścieżką, i postanowili się zatrzymać, by posłuchać razem z nami i zaśpiewać przygotowane pieśni strzelców alpejskich. Turyści byli oczarowani takim pięknem i zapytali nas: „Kim jesteście? Co robicie?”. Byli nauczycielami i nie mogli pojąć, że można zorganizować szkołę w górach, recytując wiersze i śpiewając pieśni strzelców alpejskich. Wreszcie jedna z nauczycielek wykrzyknęła: „Takiej właśnie włoskiej szkoły chcę!”. Była to naprawdę wyjątkowa niedziela. Z

trzech powodów. Po pierwsze: ponieważ gdybym zatrzymała się na tym, co zaplanowałam, a to nie doszłoby do skutku, nic by się nie wydarzyło. Po drugie: zaufałam i podjęłam to, co zaproponowała przyjaciółka. Po trzecie: czasami nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, jakie wychowanie otrzymałam w ostatnich latach, gdy tymczasem zauważają to inni, tak wyraźnie, że w tych, którzy nas obserwują, budzi się tęsknota. Nie jest to kwestia zdolności wykonawczych czy organizacyjnych, ale mojej świadomości bycia córką pewnej historii, która mnie rodzi i z której nieustannie czerpię limfę. To wszystko.

Widzisz? To ostatecznie pozostaje z drogi, którą podążamy. Czasami ktoś zadaje sobie pytanie: „W czym tkwi odmienność?”. Jeśli podążamy drogą, krok po kroku, odmienność nie może nie ujawniać się coraz wyraźniej. Ale niekoniecznie jest to udokumentowane w formie i sposobie, jakie mamy na myśli. Czasami może się to zdarzyć w ciszy klasy lub podczas spaceru. To nie my decydujemy, kiedy odmienność staje się widoczna i zostaje rozpoznana. Ale kiedy to się stanie, nie poprzestawajmy na zredukowanej mierze, przy pomocy której człowiek zawsze ma pokusę, by osądzać samego siebie, ale podążajmy drogą samoświadomości, której potrzebujemy do życia! Jak realizuje się to w rzeczywistości lub kiedy rozkwita, co Tajemnica robi z naszym „tak”, odkrywamy, kiedy On zechce. Nie zatrzymujemy się zatem na sukcesie lub porażce naszej wydajności, ale dalej żyjemy naszym „tak”, aby życie nie poszło na marne. To Tajemnica da nam poznać, jak posłuży się naszym „tak”, czasem w najbardziej nieoczekiwanym momencie, jak widzieliście, aż stało się to widowiskiem dla tych turystów, którzy stwierdzili: „Takiej właśnie szkoły chcę!”. Prostota gestu, takiego jak wycieczka w góry, pokazuje dojrzewanie tej samoświadomości, w którą tak często wątpimy. Jednak niezależnie od tego, kiedy ukazuje się oczom wszystkich, chodzi o pełnię, którą reprezentuje dla nas przeżywanie życia w ten sposób. Reszta znajduje się w rękach Kogoś Innego.

Chciałam opowiedzieć o dwóch faktach, które wydają mi się wskazywać na wzrost charyzmatu. Doświadczenie GS rozpoczęło się na nowo dla mnie w środku lockdownu. Mój mąż i ja postanowiliśmy przyjąć do naszego domu chłopaka z CLU (studenci z ruchu Comunione e Liberazione), który potrzebował zakwaterowania i zamieszkał z nami w miesiącach lockdownu. Intensywność przyjaźni z nim, decyzja o tym, bym zaryzykować z nim szczerze, zmieniła nas i jego. Jego i nasza wdzięczność była początkiem pewnej nowości. Jakby w odpowiedzi na otrzymane przyjęcie, ze wzruszeniem przyszli mu na myśl chłopcy z trzeciej klasy gimnazjum – o których mu odpowiadałam – którzy właśnie skończyli egzaminy; było ich około piętnastu, a on ich nie znał. Poprosił o ich numery, dzwonił do nich po kolei, żeby ich zaprosić do naszego domu. Przeżyliśmy lato spotkań, piosenek, zabaw, kolacji. W następstwie tego, co się wydarzyło, na początku tego roku do GS przyszło około 30 młodych ludzi – bez żadnej strategii, jak była o tym mowa dziś rano! Wszystko zrodziło się z doświadczenia przeżytego podczas lockdownu, z tej intensywności relacji, z wdzięczności, która potem nastąpiła: zaczęłam patrzeć na młodych w inny sposób. Wydawało mi się, że jest to wielka nowość dla mnie. Przechodzę do drugiego faktu. We wrześniu ubiegłego roku spotkaliśmy się z dorosłymi, aby zdecydować, kiedy zrobić Szkołę Wspólnoty GS w ciągu roku, i postanowiono, że zrobimy ją o godzinie 13. Jeden z chłopców chodził do odległej szkoły; wracał do domu o czwartej po południu, a zatem nigdy nie mógłby przyjść. Myśląc o tym, że ja także spotkałam Ruch, kiedy byłam w tym wieku i że Pan przyszedł, aby mnie przyciągnąć w moim specyficznym położeniu, powiedziałam: „Choćby tylko dla tego chłopca, stworzę małą grupę Szkoły Wspólnoty. Jeśli zechce, może być obecny wieczorem”. Zaczęliśmy on i ja. Stopniowo zapraszał swoich przyjaciół i teraz jest około dwudziestu młodych ludzi, którzy są ze sobą coraz bardziej związani. Dzięki temu dorosłam. Mam jednak pytanie. Już nieco

odpowiedział, ale nadal potrzebuję pomocy. Kilka dni temu spotkaliśmy się z dorosłymi i wszyscy byliśmy zaniepokojeni tym, co robić w tym roku, ile grup, z kim, jak, gdzie; kiedy ksiądz Andrea powiedział dziś rano, żeby uważać, by od razu nie ustanowić formy, zadałam sobie pytanie: jak nie przytłoczyć od razu nowego poruszenia formami, jakbym chciała przejąć kontrolę nad tym, co się dzieje?

Nie martw się. To są pytania, które możesz sobie zadać, ponieważ normalne jest zapewnienie sobie minimum organizacji. Nie chodzi tyle o to, co bardziej o uświadomienie sobie, że kiedy zobaczyłaś, że jakiś chłopak nie mieścił się w organizacji wymyślonej przez was Szkoły Wspólnoty (jak widzisz, zawsze coś wymyka się naszym schematom), podążyłaś za ponagleniem, jakim była dla ciebie jego obecność, a to doprowadziło do powstania większej grupy niż ta, którą już mieliście: od jednego doszli do dwudziestu dzieciaków, odpowiadając na zaproszenie przyjaciela. Chodzi właśnie o tę elastyczność, o to nasze nawrócenie na to, co się wydarza. Mogłaś powiedzieć: „W porządku, to jest plan organizacyjny, który wymyśliliśmy, kto może przyjść, niech przyjdzie, co możemy zrobić innego?”; tymczasem z wdzięczności za to, co przydarzyło się tobie, wykonałaś ruch w stosunku do tego chłopca. Sprawy są zawsze prostsze, niż je sobie wyobrażamy, bo nie chodzi o organizację czy inicjatywę, ale o dialog z rzeczywistością, która nieustannie rozbija schematy. Trzeba tylko być gotowym na ten dialog, tak jak ty byłaś gotowa. Kto by pomyślał, kiedy zaczęłaś rozmawiać z tym chłopakiem, że w ten sposób Tajemnica dotrze do innych? Ta elastyczność, to bycie uważnym na znak Tajemnicy – tak jak ty to zrobiłaś, i to jest niesamowite, najpierw przyjmując chłopaka z CLU, zgadzając się zaangażować w relację z nim, a następnie podejmując inicjatywę z tym uczniem – sprawia, że wszystko przyczynia się do naszego rozwoju. Ten rozwój jest związany z twoją dyspozycyjnością wobec kogoś, kto nie mieścił się w schemacie – mimo że koniecznym: robienie Szkoły Wspólnoty o 13:00 – przy pomocy którego, przy całej waszej dobrej woli, próbowaliście odpowiedzieć na potrzeby większości dzieciaków. Wszystko to pozwoliło ci zobaczyć, że Tajemnica może posłużyć się inną drogą, aby dotrzeć do „jednej” osoby; a ty okazałaś taką prostotę, że przystałaś na sposób, w jaki Tajemnica wzywała cię za pośrednictwem tego chłopaka. Nigdy nie będziemy w stanie dojść do organizacji tak doskonałej, by oszczędziła nam bycia dobrymi, to znaczy uważnymi i dyspozycyjnymi wobec tego, co się dzieje. Mogłaś powiedzieć: „W związku z tym, że organizacja jest taka, nie ma się co przejmować tymi, którzy nie mogą przyjść na Szkołę Wspólnoty”. Tymczasem nie, zdałaś sobie sprawę, że nawet dla jednego chłopaka, który nie pasował do schematu, warto było zaangażować się osobiście. A potem zdumiałaś się, że w ten sposób Tajemnica przygotowała dla ciebie niespodziankę!

Przez dwa lata pandemii wciąż zajmowałam się tą samą grupą uczniów w wieku od 10 do 12 lat; jeden z nich choć jest dotknięty łagodną postacią autyzmu, jest bardzo wymagający; koledzy nie dostrzegają w nim tej trudności i myślą, że woli przebywać sam. Trudno wspierać relacje, kiedy nie dostrzegasz trudności. Jego mama jest bardzo dzielna i we wszystkim dodaje synowi odwagi. W tym okresie dużo rozmawiałyśmy, aby pomóc mu w podejmowaniu małych wyzwania: „Kup czekoladkę w szkolnym barze”, „Naucz się imion swoich kolegów z klasy”, „Zadaj jakieś pytanie”, „Zrób notatki”. Podczas pierwszego lockdownu wydawało się, że bardzo się cofnął w rozwoju, do tego stopnia, że latem powiedział mamie, że woli, aby lekcje zawsze odbywały się zdalnie i że we wrześniu nie będzie chciał wrócić do szkoły. W każdym razie wrócił, a wyzwań było wiele. Podczas drugiego lockdownu (od stycznia do kwietnia tego roku) zauważyłyśmy, że bardziej się rozwinął, chociaż miał te same trudności. Pod koniec roku mama była trochę zaniepokojona, ponieważ wydawało się, że nie osiągnął wielu celów, nawet jeśli oceny nie były słabe. W pewnym momencie zapytałam ją: „Jak minął lockdown w

domu?” na co ona odpowiedziała: „Nie mógł się doczekać, aż w kwietniu lekcje ponownie rozpoczną się w szkole”. Odpowiedziałam: „To fantastycznie! To jest najważniejszy krok, jaki zrobił w ciągu tych dwóch lat!”. Mama spojrzała na mnie bardzo zdziwiona, jakby tego nie zauważyła. Potem kontynuowałam: „To świadczy o tym, że jest w relacji z rzeczywistością i że na swój sposób uświadamia sobie, że istnieje miejsce, które każdego dnia wzywa go do nawiązywania relacji z innymi – nauczycielami i uczniami – które wydobywa go z izolacji, wyciąga go z jego zabaw i do którego chce wrócić!”. Mama patrząc na mnie, wzruszyła się, zaczęła płakać, po czym powiedziała: „To prawda, to prawda”, ponieważ nie zauważyła tego. Ten fakt wzbudził we mnie wiele pytań, ale przede wszystkim jedno: co pozwoliło mi zobaczyć to, co opisałam? Jako nauczyciel mam w głowie wiele celów, ale ten chłopak osiągnął cel, który nie przeszedł mi nawet przez myśl: pragnienie bycia obecnym w szkole. I dlaczego ja go dostrzegłam, a jego mama, która jest z nim zawsze i jest taka uważna, nie? Zdałam sobie sprawę, że ta zdolność widzenia wynika z doświadczenia charyzmatu. Jedną z rzeczy, które najbardziej pomogły mi w tym roku, była Szkoła Wspólnoty z tobą każdego miesiąca: sposób, w jaki przyjmujesz każde wystąpienie, sprawiasz, że wylania się najprawdziwszy punkt drogi każdej osoby, wychowywał mnie; przede wszystkim wychowywał moją uważność, umożliwiając mi na przykład dostrzeżenie ogromnego kroku postawionego przez mojego autystycznego ucznia, który mógł przejść niezauważony. Widzę, że najważniejszym odkryciem tego roku było – poprzez fakty takie jak ten, o którym opowiedziałam – że rodzenie się mnie, mojego „ja”, nie dokonuje się, kiedy analizuję siebie lub kiedy martwię się o moją skuteczność, ale kiedy korzystam z narzędzi, które są mi dane, które daje mi „Ty” w bardzo konkretnym towarzystwie, a ja pozwalam się rodzić, podążając za nimi. Dziękuję.

Dziękuję, zdumiewające! Ponieważ różnicę robi właśnie to rodzenie siebie, o którym dałaś świadectwo, które przychodzi do nas z łaski charyzmatu, które dokonuje się, gdy podąża się za sposobem, w jaki ksiądz Giussani wprowadza nas w patrzenie na rzeczy zgodnie z całym ich powabem i znaczeniem. Każdy miał przed sobą autystyczne dziecko, od mamy po kolegów nauczycieli, ale tylko w tobie, ku twojemu własnemu zdumieniu, było to spojrzenie, które pozwalało ci zacząć rzucać mu małe wyzwania (uczenie się imion kolegów z klasy, pójście do szkolnego baru po czekoladkę), zamiast odpuścić, myśląc: „Nie da rady, jest autystyczny, biedaczek!”. Wszystko to stopniowo wytworzyło w dziecku zaufanie, które skłoniło je do robienia rzeczy, o których myślał, że nie jest w stanie ich zrobić. Spojrzenie, które przeszło przez ciebie, było tak rodzące, że zapragnął wrócić do szkoły, w przeciwieństwie do pierwszego lockdownu. W takiej sytuacji rozumiem, że można zadać sobie pytanie: „Ale skąd bierze się takie spojrzenie? Gdzie się go uczyć?”. Uczymy się go w miejscu rodzącym, ponieważ, jak mówi ksiądz Giussani, „nikt nie rodzi, jeśli nie jest zrodzony” (L. Giussani, „La gioia, la letizia e l’audacia. Nessuno genera, se non è generato”, „Tracce”, nr 6/1997, s. IV). Imponujące jest to, że możemy coraz bardziej stawać wobec rzeczywistości dzięki miejscu i świadomości Ty, które się w nim uobecnia, jak to widać w wielu wypowiedziach. Niby nic, pozornie nie rzuca się w oczy: kto w szkole zorientował się, że jest jakaś osoba, która z taką odmiennością patrzy na autystycznego chłopca? Nawet mama nie była w stanie tak na niego patrzeć! W tym odmiennym spojrzeniu rozgrywa się jego przeznaczenie, tak jak rozgrywa się nasze przeznaczenie. Jak możemy nie odczuwać całej wdzięczności za przynależenie do miejsca, które w pierwszej kolejności w taki sposób rodzi nas? Jak nie dziękować za to księdzu Giussanemu każdego dnia?

Chciałabym wrócić do kwestii szczeliny. W istocie to, co widzieliśmy również w serialach telewizyjnych, nie jest przesadą. Od jakiegoś czasu noszę w sobie dużą ranę, ale zdałam sobie z niej sprawę „przypadkowo”, czytając jedną z twoich lekcji. Uświadomiłam sobie ranę i dlatego było to bolesne, poruszające, i musiałam sobie powiedzieć: „Co to jest? Masz 60 lat, 30 lat powołania, co się teraz z tobą dzieje?”. I powiedziałam sobie: „W porządku, spójrz na tę ranę”, ranę, która zależy od mojej historii, od tego, co wydarzyło się w moim życiu. Zaczęłam robić wszystko, by o niej zapomnieć: rozpraszałam się, próbowałam wielu odpowiedzi, ale ta rana pozostawała. Pewnego dnia, podczas ciszy, zauważyłam, że w tym bólu znajduje się punkt wdzięczności. To był punkt, od którego nie było odwrotu. To jedyny punkt we mnie, który nie jest trywialny, nienasycony, nie jest powierzchowny, roszczeniowy, jedyny punkt, w którym mogę naprawdę rozpoznać, że „jestem” potrzebą, jedyny punkt, który wymyka się wszystkim moim kalkulacjom, wszystkim moim „zrób to po swojemu” i skąd może wyłonić się na nowo prośba o Jego obecność, czyli o zbawienie. To jedyny punkt, który w zasadzie nie pozwala mi zasnąć – i to jest powód wdzięczności – ponieważ nie pozwala mi umrzeć w nicości życia, które czasem nie jest dramatyczne, które zawsze układa się pomyślnie, w którym to ja domykam krąg. Zaraz po tym powiedziałam sobie: „W tym jest pierwsze zwycięstwo Chrystusa”, bo bez Chrystusa, bez tego, w jaki sposób Chrystus dociera do mnie teraz, bez twojej twarzy i tego towarzystwa, nie byłabym w stanie nawet patrzeć na tę ranę. Nie wiem, czy uda mi się właściwie to wyrazić, przepraszam.

Oczywiście!

W końcu zrozumiałam wagę tej szczeliny, dlatego nie chciałam jej usunąć, także dlatego, że jest to moje prawdziwe „ja”. Dotknęłam mojego prawdziwego „ja”. Nie chodzi tylko o mnie, ponieważ jestem stworzona w określony sposób lub jestem źle zrobiona, jestem zbyt dramatyczna albo nie wiem co; myślę, że o to chodzi w człowieczeństwie, jest to fakt, który dotyczy nas wszystkich. Z tej perspektywy właśnie patrzę teraz na wszystko, co mi się przydarza, na moich uczniów, moich kolegów, rozpoczynający się rok szkolny, osoby z mojego domu. Zbyt pilną sprawą jest dla mnie to, aby o tym pamiętać, aby móc rozpoznawać odpowiedź, kiedy się wydarza. Za to jestem ostatnio wdzięczna. W cierpieniu z czasem zwycięża wielka wdzięczność. Oto moje doświadczenie szczeliny.

Dlaczego jesteś taka wdzięczna? Co odkryłaś w tym wszystkim? Moim zdaniem decydującą sprawą jest uświadomienie sobie tego, ponieważ przez lata możemy żyć życiem Ruchu albo powołaniem, nie będąc w stanie dostrzec i objąć rany. Ponieważ to jest coś, czego nie możemy zrobić sami, czyż nie?

Zgadza się.

Kropka. To jest kluczowe, ponieważ wtedy właśnie dlatego, że nie możesz jej objąć sama, potrzebujesz ciszy. A czym jest cisza?

Jest dialogiem.

To nie jest pozostawanie samemu z samym sobą. Cisza jest wpuszczaniem do środka spojrzenia na siebie Kogoś Innego właśnie dlatego, że nie jesteś w stanie patrzeć na ranę w pojedynkę. Przypadkowo przeczytałaś ponownie jakąś lekcję, i to ułatwiło ci przyjrzenie się sobie. Nasze człowieczeństwo jest największym zasobem, jaki mamy do tego coraz intensywniejszego, coraz głębszego, coraz bardziej zagarniającego wszystko dialogu z Chrystusem i to właśnie ostatecznie sprawia, że jesteśmy wdzięczni. Mówiłem o tym – jak widzieliście – w nagraniu z wystawy: sądzę, że lojalność wobec mojego człowieczeństwa uratowała mi życie. Ksiądz Giussani zawsze nam o tym mówił, ale możemy słuchać jego słów formalnie: „Chrystus [...] jawi się jako odpowiedź na to, kim «ja» jestem, i tylko pełna uwagi, a także delikatności oraz pasji świadomość samego siebie [to pełne czułości

spojrzenie na samego siebie] [...] może mnie «otworzyć na oścież» i przygotować do rozpoznania, podziwiania, dziękowania, do życia Chrystusem” (L. Giussani, *Chrześcijaństwo jako wyzwanie*, Pallotinum, Poznań 2002, s. 9). To może pomóc ci odkryć, kim naprawdę jest Chrystus.

Nie da się tego porównać z niczym innym. Tylko ten, kto przejdzie tę drogę, będzie w stanie, w świecie, w którym żyjemy, objąć zranienia drugiego; zamiast traktować rany drugiego człowieka, nieszczęścia lub sprawy, które się nie układają, jako przeszkodę, będzie postrzegał je jako okazję do spotkania z Chrystusem. „Nie przyszedłem dla zdrowych, ale dla chorych” (por. Mk 2, 17). Zgadząmy się z cytatem, ale w zasadzie w to nie wierzymy! Tak naprawdę nie wierzymy, że tylko w ubogich – w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu – w tych, którzy nie mają nic, którzy nie znoszą siebie, którzy przeżywają ten dramat, otwiera się szczelina, przez którą wkracza łaska Chrystusa, tak jak wniknęła w nas. Jeśli my w pierwszej kolejności przemierzamy tę drogę, będziemy w stanie nie gorszyć się niczym – niczym! Będziemy mogli dostrzegać zranienia drugiego, tak jak przyjaciółka zabierająca głos wcześniej, dostrzegła je u autystycznego chłopca, albo ty u innych osób, bez względu na sposób, w jaki pojawiają się przed tobą. Problem – jak widzimy w serialach telewizyjnych i jak stale widzicie w szkole – polega na tym, czy dzieci, tak jak zdarzyło się to tobie, natrafiają na spojrzenie zdolne je objąć, znak spojrzenia Chrystusa, który pochyla się nad ich ranami. Pochyla się za pośrednictwem tych, których powołał; Chrystus sprawił, że jako pierwsi uczestniczymy w tym objęciu, abyśmy z kolei mogli objąć innych. W przeciwnym razie z naszymi schematyzmami nie wejdziemy w relację z nikim!

Albo wejdziemy w relacje powierzchownie.

Podkreślam. Tylko ten, kto przeszedł tę osobistą drogę, będzie w stanie dostrzec każdą ranę i będzie mógł dostrzec szczelinę, przez którą może wniknąć światło. Następnie, kiedy druga osoba przyjmie nasze objęcie, tak długo, jak będzie to potrzebne, to, ile uśmiechów będzie trzeba, by wywołać ten pierwszy uśmiech odpowiedzi u drugiego, nie znajduje się w naszych rękach. Ale sam fakt, że czujemy to spojrzenie na sobie, sprawia, że jesteśmy naprawdę wdzięczni za to, że Ty, Chryste, jesteś. To jest charyzmat. Im bardziej, jak czasami widzimy, rozglądając się wokół nas, w obliczu wszystkich ludzkich zranień, zwiększa się ilość zasad, aby jakoś powstrzymać tych, którzy występują z brzegów, nie dotykając jednak istoty „ja”, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że to, czego my potrzebujemy dla siebie, przyda się innym. Jak powiedziałas, nie inne zasady i inne ograniczenia, aby powstrzymać występowanie z brzegów naszego zranionego człowieczeństwa, ale spojrzenie zdolne obejmować nas całych. Tylko Żyd Jezus z Nazaretu tak na nas patrzył, „tylko Chrystus bierze sobie do serca moje człowieczeństwo” – powiedział ksiądz Giussani na placu św. Piotra w 1998 roku. Nie zostaliśmy źle stworzeni, zostaliśmy stworzeni doskonale przez Boga! Problem w tym, że wiele razy myśleliśmy, że to nasze bycie „potrzebą” jest w gruncie rzeczy ograniczeniem...

Tak.

...i że nasza strukturalna dysproporcja jest czymś, co trzeba usunąć. Pamiętajmy, że naszym dążeniem jest bycie autonomicznymi, nie potrzebować niczego, nie być potrzebującymi, ponieważ uważamy, że jeśli jesteśmy potrzebujący, to znaczy, że zostaliśmy źle stworzeni, że coś jest nie tak. Tymczasem Bóg uczynił nas tak potrzebującymi właśnie po to, by móc wypełnić wszystko swoją obecnością. Dlatego jesteśmy wdzięczni za to, że wszystko służy temu, by kontynuować dramatyczny dialog z Tajemnicą. Tylko w ten sposób będziemy mogli poznać Chrystusa, w przeciwnym razie „imię Jezusa Chrystusa staje się tylko zwyczajnym imieniem” (L. Giussani, *Chrześcijaństwo jako wyzwanie*, dz. cyt., s. 9) – powiedział nam ksiądz Giussani. Widzieliśmy to na prezentowanej podczas Meetingu wystawie *Życie bez strachu w dobie niepewności*: Chrystus zredukowany do

samemu tylko imienia nie zablokuje rozprzestrzeniania się nicości, tak jak nie powstrzymał wyludniania się kościołów, zamienianych w baseny, biblioteki czy restauracje, tak też nie będzie w stanie dostrzec potrzeby ludzi. Jak powiedział Charles Taylor na początku nagrania z wystawy: „Jak uniknąłem skończenia jak większość mieszkańców Quebecu, którzy po pewnym czasie bardzo rozgniewali się na Kościół? Niespodziewanie w latach 60. doszło do buntu i wielu ludzi się oddaliło. Dlaczego nie podążyłem za tym ruchem?”. A dlaczego my także nie skończyliśmy w ten sposób, oddalając się od Kościoła? Z pewnością nie ze względu na ogólnikowy dyskurs religijny, ale ze względu na coś rzeczywistego, konkretnego, historycznego, precyzyjnego: charyzmat, poprzez który Chrystus stał się obecny w naszym życiu, zafascynował nas, zagarnął nas. Jeśli to nie jest charyzmat, nikogo to nie zainteresuje, poczynając od nas samych.

Mam pytanie wynikające z faktu, który przydarzył mi się tego lata. Pewien dorosły zaprosił mnie na spotkanie z osobami odpowiedzialnymi za GS z innej wspólnoty: „To mogłoby ci pomóc ożywić rzeczywistość GS w twoim mieście”, powiedział mi. Pomysł rzeczywiście nie był zły! Problem był następujący: nie łączy mnie z nim głęboka przyjaźń. Jego prowokacja otworzyła we mnie otchłań, ponieważ poczułem się osądzony z powodu mojej niewystarczalności w byciu z młodzieżą. Dziś poprosiłem o pomoc jedną z obecnych tu odpowiedzialnych i ta sama prowokacja, w przyjaźni z nią, stała się okazją do wzrostu, do przyjęcia. Wydaje się, że prowokacje przyjaciela są szansą na rozwój, podczas gdy te same prowokacje ze strony kogoś nieznanego stają się problemem do rozwiązania, aby uniknąć szerzenia się poczucia niewystarczalności. Pytam: jak być bardziej otwartym na prowokacje, nawet jeśli nie pochodzą one od przyjaciela i powoli zaczynają przybierać postać samokrytyki, a może nawet zamknięcia się w sobie?

Myślę, że dyspozycyjność wynika z potrzeby. Jeśli masz grypę, nie jesteś przekonany, że potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje; ale jeśli masz guza, niecierpiącą zwłoki potrzebą staje się znalezienie kogoś, kto odpowiedzialny na twoją potrzebę; i właśnie ze względu na głęboką potrzebę nie zatrzymujesz się wobec charakteru lekarza, który może się tobą zaopiekować. Oczywiście jeśli chirurg jest miły, tym lepiej. Nasza trudność polega na tym, że wiele razy nie jesteśmy tak naprawdę świadomi potrzeb, jakie mamy. Zamiast czuć się osądzanym przez kogoś innego, mógłbym zadać sobie pytanie: „Zobaczmy, co jest w tym, co mi mówi, zobaczmy, co mi oferuje”. Niekoniecznie ta osoba utrafiła z sugestią, którą otrzymałeś, a ty będziesz musiał zweryfikować, czy to, co ci powiedziała, ułatwia ci drogę, popycha cię do działania. Ale fundamentalne pytanie brzmi, czy zaczynamy od świadomości, że spotkanie z drugim zawsze może być dobrem. Łatwiej jest to rozpoznać, jeśli odkryjemy naturę naszej potrzeby.

Jedynie bycie świadomym własnej potrzeby pozwala mi uchwycić potrzebę, która wyłania się wciąż coraz wyraźniej, czasem zaskakująco i dramatycznie, w naszym społeczeństwie. I to właśnie świadomość mojej prawdziwej potrzeby pozwala mi dostrzec tego, kto może mi udzielić adekwatnej odpowiedzi. Zaskoczył mnie fakt opowiedziany na Międzynarodowym Spotkaniu Odpowiedzialnych. Pewna profesor, który zaszła w ciążę na krótko przed pandemią, rozmawiała z doktorantem, któregożona, będąca w ciąży tak jak ona, właśnie straciła dziecko; doktorant zapytał ją: „Ale czy wiedząc, że stanie się to wszystko, co się dzieje, zrobiłaby pani to jeszcze raz? Czy wydałaby pani dziecko na świat?”. Przy następnej okazji wykładowczyni zapytała go, dlaczego zadał jej to pytanie. A on: „Ponieważ niewielu ludziom można zadać takie pytanie” („Perché lo chiedi a me?”, „Tracce”, nr 8/2021, s. 30; tłum. pol.: „Dlaczego pytasz o to mnie”, <https://pl.clonline.org/nowo%C5%9Bci/listy/2021/10/13/bazylea-dlaczego-pytasz-o-to-mnie>). Potrzeba, którą

mamy, jest detektorem pozwalającym wychwytywać ludzi, którym możemy zadawać pytania, ponagające nas od środka. Z tego powodu im bardziej czegoś potrzebujemy, tym bardziej możemy docenić doświadczenie drugiego. Dlatego powiedziałem, że nasza dyspozycyjność jest prostsza, łatwiejsza, gdy mamy jakąś potrzebę.

Zawsze przychodzi mi na myśl przykład Naamana: po podjęciu wszystkich prób wyleczenia się z trądu udaje się do proroka Elizeusza, który mówi mu: „Idź, obmyj się siedem razy w Jordanie”. Odchodzi oburzony, myśląc, że w jego kraju są lepsze rzeki niż wody Jordanu, byle jakiej rzeki. To jest zarozumiałość. Ale słudzy mówią mu: „Gdyby prorok kazał ci spełnić coś trudnego, czy byś tego nie wykonał? O ileż więc bardziej, jeśli ci powiedział: «Obmyj się, a będziesz czysty»”. Poszedł i został uzdrowiony (2 Krl 5, 10-14). Gdy ktoś jest świadomy swojej potrzeby, moim zdaniem jest bardziej skłonny zaakceptować sugestię: „Sprawdź, czy to, co ci mówię, może pomóc ci znaleźć odpowiedź na twoje pytanie”.

Doświadczenie tego roku wprawilo mnie w zdumienie, którym chciałem podzielić się z tobą i z wami, a mianowicie, że charyzmat jest czymś, co się wydarza, jest jak odnowa człowieczeństwa w spotykanych osobach, które zarysowują aspekt obecności Pana. Wydawało mi się, że pojąłem w nowy i głębszy sposób, że charyzmat jest ponownym wydarzeniem się – w spotkaniach, w faktach, w podejmowanych gestach – cech autentycznego człowieczeństwa, które niesie w sobie jakiś nadmiar; są to znamiona obecności Chrystusa, znamiona Kogoś Innego. Podam trzy przykłady. Pierwszy. Podczas kolacji podchodzi do mnie dyrektor, którego nie znałem, i mówi: „Muszę ci bardzo podziękować, ponieważ po dwóch twoich webinarach, które śledziłem (odbyłem dwa spotkania o tematyce zawodowej) postanowiłem zacząć od nowa”. Właśnie stracił nastoletniego syna. Drugi. Inny dyrektor zapisał się do naszego stowarzyszenia po spotkaniu z niektórymi z nas i wysłał mi maila: „Zabrzmiało to powierzchownie lub przesadnie, ale czuję się w obowiązku serdecznie podziękować za przyjęcie. Ja, któremu naprawdę trudno jest czuć się częścią czegoś, znalazłem styl i osoby, które mnie stymulują, uzupełniają mnie, sprawiając, że czuję się częścią jakiejś wspólnoty”. Trzeci. Idę odwiedzić dyrektora, który należy do Ruchu i który przeżywa trudny czas; po kilku negatywnych uwagach zaczyna opowiadać o tym, jak prowadzi szkołę, jak kocha młodzież, jak spotyka się z nimi; w pewnym momencie, przy sycylijskim cannoli, zapytałem go: „Skąd twoim zdaniem bierze się ta twoja zdolność trwania w szkole?”, na co on się rozplakał. Wówczas powiedziałem mu: „Widzisz? Charyzmat jest czymś, co nas przeniknęło tak głęboko – prawie wbrew nam – że przeważa i prowadzi nas do bycia tym, kim jesteśmy”. Na lotnisku objął mnie, zanim pozwolił mi odejść, prosząc mnie, bym wrócił. Podalem te autobiograficzne przykłady, aby powiedzieć, że wydaje mi się, iż rozkwit człowieczeństwa tych, którzy nas spotykają, przywraca nam możliwość odkrycia niewątpliwych rysów Chrystusa, znamienia charyzmatu. Wydaje mi się, że to utożsamienie się z naszym charyzmatem, poprzez podążanie za tobą, gestami i historią Ruchu, jest czymś bardzo istotnym dla wykonywanego zawodu, powiedziałbym prawie, że charyzmat jest najbardziej profesjonalizującym doświadczeniem, jakie może istnieć, a my możemy żyć tylko tym, ponieważ wszystko inne przychodzi później, jako intuicje, kreatywność, otwierające się szczeliny, pojawiające się pomysły, nowe relacje. Na Szkole Wspólnoty czytamy, że każdy musi się troszczyć o porównywanie swoich kryteriów z obrazem charyzmatu; teraz, za sprawą tego, o czym powiedziałem, lepiej rozumiem, że obraz nie jest czymś moim, ale jest czymś, co się wydarza, czymś widocznym, z czym można się porównać. Szkoła Wspólnoty mówi, że to jest nasza cnota. Chciałbym być cnotliwy i dlatego proszę cię o pogłębienie.

Ksiądz Giussani stwierdza, że „każdy [...] musi troszczyć się o porównywanie swoich kryteriów z obrazem charyzmatu, [...] jaki wyłonił się u zarania” (*Zostawić ślady w historii świata*, dz. cyt., s. 116). Nie chodzi więc

o otwarciu dyskusji na temat tego, jaki jest obraz charyzmatu, bo każdy miałby coś do powiedzenia. Problem nie rozwiązuje się podczas dyskusji, ale zaczyna się rozjaśniać, kiedy zdarzają się takie rzeczy jak te, które dokumentujecie. Dlaczego charyzmat nas pochwylił? Ponieważ natknęliśmy się na fenomen innego człowieczeństwa, które objęło naszą istotę. To jest powód, dla którego ludzie Ignęli do Jezusa: „Nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego, takiej intensywności życia!”. I to jest stale dokumentowane: rozkwit – jak mówisz – poruszonego człowieczeństwa, zrodzonego w takim miejscu jak to, dzięki łasce charyzmatu. Ksiądz Giussani wprowadził nas na pewną drogę, abyśmy patrzyli na człowieka tak, jak pozwolił nam go postrzegać, aby w terażniejszości zweryfikować związek wiary z potrzebami życia, a zatem z wykonywanym zawodem. Widzieliśmy, ile różnych prób jest w stanie przebudzić człowieczeństwo innych: jedna osoba może zacząć od nowa po śmierci dziecka; inna, która opierała się, by stanowić część czegoś, czuje się przygarnięta i zaczyna dostrzegać, że przynależność nie jest umartwieniem samego siebie, ale czymś więcej niż ona sama; ktoś jeszcze inny czuje się objęty i prosi, abyś wrócił go odwiedzić, gdy odwozi cię na lotnisko. Co to wszystko ma ze sobą wspólnego, jeśli przyjrzymy się temu uważnie? Nie ustalenie, jaki jest obraz charyzmatu; każdy weryfikuje obraz charyzmatu zgodnie ze zdolnością, jaką on w nas rozwija, do właściwej interakcji z każdym, kogo spotykamy. Niech każdy zweryfikuje w sposobie, w jaki żyje, z kim jest w stanie wchodzić w interakcję. Ponieważ można pozostać przywiązany do jakiegoś właściwego obrazu i w porządku; można nawet myśleć, że wszystkie inne są błędne i to jest w porządku; ale będzie musiał konkretnie zweryfikować, czego potrzebuje do życia i co jest mu przydatne, aby prowadzić dialog z innymi. Dlatego wydaje mi się, że chwila obecna jest niesamowitą okazją, jak powiedziałem na wystawie, aby zrozumieć, jaka jest prawdziwa natura chrześcijaństwa; i jaka jest prawdziwa natura charyzmatu. Bo nie wystarczy powiedzieć: „Bóg”; nie wystarczy powiedzieć: „Jezus”; nie wystarczy powiedzieć: „Kościół”, ponieważ wszyscy to powtarzali i kościoły opustoszały. Oto dlaczego tak bardzo uderza mnie pytanie Taylora: „Dlaczego nie skończyłem jak wszyscy inni?”. Dlaczego mamy w sobie to pragnienie, tę wdzięczność? Dlaczego doświadczamy intensywności życia, którą chcemy współdzielić z innymi? Dlaczego potrafimy przygarniać? Skąd się to bierze? Nie znajduję innej odpowiedzi niż ta: z naszej wierności charyzmatowi. W obliczu obecnego wyzwania każdy będzie musiał zobaczyć, gdzie wibruje człowieczeństwo, bo jeśli nie wibruje, jeśli poprzez doświadczenie charyzmatu człowiek nie rozkwita, nie wiem, ilu jeszcze będzie zainteresowanych. Wydaje mi się, że jest to ogromna szansa dla nas wszystkich. To jest jedyna „cnota”.

Chciałam poczynić pewną uwagę i zadać pytanie. Pierwsza refleksja to wzruszenie i wdzięczność za drogę łaski, którą jako rzeczywistość Graala (propozycja życia chrześcijańskiego skierowana do uczniów gimnazjów) przeszliśmy w tym roku. Zaczęliśmy z wielką potrzebą, wyrażoną wprost, a to sprawiło, że zbieraliśmy się razem z niespotykaną dotąd wiernością. Otrzymaliśmy dar komunii, w której nie chodziło o naszą rolę, ale o naszą potrzebę bycia, o nasze powołanie. Zaczęliśmy na początku ubiegłego roku od spotkania z alpinistą Cucchim (zorganizowanego również z młodzieżą), który zainicjował temat: „Nie chcę żyć na próżno”; w małych grupach zorganizowaliśmy Dzień Inauguracji Roku Pracy. Kiedy była zbiórka żywności, wydawało się, że nic nie da się zrobić, ale jeden z nas wyruszył i wszyscy podążyliśmy za nim. Wśród dorosłych ktoś poprosił o prześledzenie drogi „obietnicy” (gest, w którym dzieci obiecują pomagać sobie nawzajem jako bracia i być wiernymi towarzystwu Graala, aby wzrastać w przyjaźni z Jezusem i dawać o Nim świadectwo w świecie): zorganizowaliśmy cztery spotkania, w których uczestniczyli bardzo licznie. Następnie przygotowaliśmy Triduum

Wielkanocne i poznaliśmy Rose. Spotkanie z arcybiskupem Mediolanu było wspaniałe i rozpoczęło wakacje, które spędziliśmy w małych grupach. Zresztą wielu biskupów, którzy nas znają, prosi o możliwość przeżycia z nami gestów. Kiedy uświadomiłam sobie całe to bogactwo, powiedziałam sobie: „Ale jak to jest możliwe? Skąd to pochodzi?”. Drugą rzeczą, którą chciałam powiedzieć, jest to, że zdałam sobie sprawę, że pandemia i seriale telewizyjne z pewnością wyzwoliły egzystencjalne pytania dzieci (mówię o tych z gimnazjum), ale widzę też ryzyko: że w tych pytaniach się kisimy. Jest to typowe dla małych grup dzieci w wieku przedszkolnym, w których zawsze ktoś płacze w towarzystwie innych osób, a najpoważniejszym objawem jest to, że zazwyczaj nie rozmawiają o tym z dorosłymi, a już na pewno nie z rodzicami. Kiedy jakimś dorosłemu udaje się już dostrzec te ich pytania, wydaje mi się, że coś się zmienia: jest autorytatywne miejsce, które je przyjmuje, a jednocześnie pojawia się propozycja, która paradoksalnie nie skupia się na nich, ale otwiera na drogę, towarzystwo. Na przykład: teraz trzeba się uczyć, przygotować do egzaminu i codziennie uczymy się razem. Chciałam wiedzieć, czy tylko ja wyczuwam ryzyko, że te pytania staną się jakimś trendem, czy to ryzyko jest realne.

Zawsze istnieje ryzyko lizania swoich ran. Rzecz w tym, co te dzieciaki mogą dostrzec w rzeczywistości dorosłych, którzy je obejmują i rzucają im wyzwania, zamiast zamykać je pod „kloszem”, sprzyjając ich kiszeniu się. Od nas zależy sprowokowanie dzieci na nowo, każdy zgodnie z inicjatywą, którą uznaje za najbardziej odpowiednią: od podejmowania drobnych gestów po dotrzymywanie im towarzystwa, prowokując je przez cały czas, zamiast pozostawiać je samymi, by narzekały.

Uczę zarówno w gimnazjum, jak i w liceum. Kiedy Francesco ponownie zadał nam wczoraj wieczorem pytanie o wzrost lub upadek charyzmatu, za który jesteśmy odpowiedzialni, pomyślałam: „Nie wiem, co oznacza to pytanie”, ale gdy próbowałam odpowiedzieć, przypomniał mi się jeden epizod z tegorocznych wakacji Graala. W pewnym momencie dziewczyny z trzeciej klasy gimnazjum, bardzo żywiołowe, zaczęły przeżywać własne dramaty, typowe dla tego wieku, dlatego gdziekolwiek się odwróciliśmy, były dziewczyny, które płakały, smutne, ponieważ wakacje się kończyły i nigdy więcej miały się już nie zobaczyć; ciągle nas dręczyły, przychodziły do nas i mówiły: „Proszę pani, jest coś bardzo ważnego! Muszę z panią o tym porozmawiać!”, opowiadając nam o tym wszystkim. Aż wreszcie w pewnym momencie, trzeciego wieczoru, kiedy szliśmy do sali, by wysłuchać świadectwa, trzy z nich przyszły i powiedziały: „Proszę pani, musimy z panią porozmawiać, to bardzo pilna sprawa!”. Słucham ich, kiedy idziemy, potem zatrzymuję się i mówię: „Spójrzmy na to, co wydarza się teraz, zobaczymy, co wydarzy się dziś wieczorem. Jutro pójdziemy razem na wycieczkę”, ponieważ nie mam im nic do powiedzenia, mogę tylko zaproponować im wspólne przyjrzenie się temu, co przeżywamy. Zastanawiałam się nad tym przez całe lato, a także teraz, na początku roku, po tym, co wczoraj powiedział ksiądz Andrea, to znaczy, że każdy z nas staje wobec rzeczywistości z sercem, które ma, a rzeczywistość wydobywa to serce; zdałam sobie sprawę, że jedyną rzeczą, która mnie interesuje w kwestii młodych ludzi, jest możliwość wspólnego patrzenia na rzeczywistość oraz na to, co odsłania się w ich sercach.

Czy twoim zdaniem to, że przychodzą do ciebie takimi, jacy są, z pytaniami, które mają, albo z chaosem panującym w ich wnętrzu, jest problemem, czy też jest to zasób?

Jest zasobem, także dla mnie.

Jeśli tak nie jest, alternatywa jest taka, jaką wskazywała poprzednia wypowiedź: kiszenie się we własnym sosie. Dzieci mogą się kisić lub mogą przejąć inicjatywę. Czasami przychodzą z chaosem, który mają w sobie, z własnymi ranami, i fundamentalną kwestią jest nie bać się, że przyjdą takimi, jakie są; a kiedy dziewczyny się do

ciebie przywiązują, chodzi o to, dokąd je prowadzisz. Powiedziałaś im: „Jutro idziemy na wycieczkę. Zobaczmy, co stanie się dziś wieczorem”. Zawsze zdumiewało mnie zdanie Giussaniego: „Jezus nie postrzegał swojej atrakcyjności, jaką budził w innych, jako ostatecznego odniesienia do siebie, ale do Ojca – do siebie samego, aby mógł prowadzić do Ojca” (*L'uomo e il suo destino. In cammino*, Marietti 1820, Genova 1999, s. 129). Nie musisz się zatem martwić, że się do ciebie przywiążą, myśląc, że z konieczności jest to personalizm; to przywiązanie jest nieuniknione, gdy ktoś jest w potrzebie, tak jak dziecko, które idzie do matki, gdy jest w potrzebie. Problemem nie jest to, w przeciwnym razie powinniśmy je odesłać, aby zbytnio się do nas nie przywiązywały. Problem polega na tym, gdzie je prowadzimy, gdy do nas przychodzą. Czego potrzebujesz do życia? Tym dziewczynom proponujesz to, czego ty sama potrzebujesz do życia. Tylko ten, kto dokonał takiego odkrycia, będzie mógł dać dzieciom jakieś wskazówki co do drogi – nie teoretycznie, nie jako abstrakcyjne rozwiązanie – tak, aby mogły doświadczyć życia, które wyciągnęłyby je z ich sytuacji, zapraszając do udziału w życiu, co jest najprostszą rzeczą. „Kto idzie za mną, będzie miał stokroć więcej tu na ziemi” (por. Mt 19, 29). Krótko mówiąc, do czego zaprasza Jezus? Do zaangażowania się w miejsce – w Jego towarzystwie – gdzie można doświadczyć życia, o jakim nikt by nie marzył ani nie mógł stworzyć go samoistnie. Zaproszenie wypływa z potrzeby młodych, którzy nekają cię właśnie ze względu na swoją pilną potrzebę. Jeśli słyszymy ten krzyk, mamy okazję spojrzeć na nich tak, jak popatrzone na nas, nie po to, by ich do siebie przywiązywać, ale zabrać ich ze sobą w miejsce, które poszerza horyzont, które pozwoli im doświadczyć całkiem nowego życia, bardziej ekscytującego dla nich. Jak powiedziała wcześniej jedna z was, kiedy dzieciaki widzą taką możliwość dla siebie, pragną uczestniczyć w tym miejscu, tak bardzo, że nawet uczeń z autyzmem, który cofnął się w rozwoju podczas pierwszego *lockdownu*, nie może się doczekać powrotu do szkoły. Co znalazł, że pragnie wrócić, bez względu na ranę, zamiast kisić się w swoim dyskomforcie? Miejsce, w którym życie występuje z brzegów.

Barbieris. Juliánie, nie mam nic do dodania, dlatego żegnamy się z tobą i bardzo dziękujemy za poświęcony nam czas.

Carrón. To ja wam dziękuję. Wszystkiego dobrego!

(© 2021 Bractwo Comunione e Liberazione)